Rocznik III (XXXIV). Kraków, lipiec—sierpień 1928 r. Nr. 5—6

NOWA ZORZA

(przedtem: „NOWY DZWONEK“)

Dodatek bezpłatny do „Krakusa“.

Wychodzi raz w miesiącu dnia 1-go.

Osobnej przedpłaty na **„Nową Zorzę“ nie** przyjmuje się. — Można ją prenumerować **tylko razem z „Krakusem“. Adres: Wydawnictwo „Krakusa“ w Krakowie,** Powiśle 12.

Nowa rota.

Nie rzucim, Chryste, świątyń Twych,
Nie damy pogrześć wiary:
Próżne zakusy duchów złych
I próżne ich zamiary.
Nie damy, by nas świecczył wróg...
Tak nam dopomoż Bóg!

Nie damy wrogom Krzyża kraść
Z szpitali, ochron, szkoły.
Choćbyśmy mieli trupem paść
Daremne ich mozoły.
Nie wpuścim wroga w państwa próg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Stąd gdy wyborów przyjdzie czas,
Nikogo z nas nie braknie:
Przy urnie staniem wszyscy wraz
I rzeczem słowo bratnie:
Posłem niech będzie nasz — nie wróg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Z wszystkich osiedli, łąk i pól
Popłynie hymn wspaniały:
Niech żyje Jezus Chrystus — Król
W koronie wiecznej chwały:
Niech żyje Marja! zagrzmi róg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Oto ślubujem z ręką wzwyż
Synowie Polski, córy!
Świadkiem nam Zbawca, Jego Krzyż,
Królowa z Jasnej Góry:
Nie spoczniem, wpierw aż pierzchnie wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!

A. P.

Z „Pamiętnika“ księdza W. Michny.

Ciąg dalszy. — Przedruk zastrzeżony.

Dnia 1-go maja 1848 r. przybyłem, pisze dalej ks. Michna w swoim „Pamiętniku“, jako wikary do Jarosławia.

Rozpatrzyłem się dobrze i użyłem wszystkich konstytucyjnych środków, aby żywioł narodowy obudzić do życia, umoralnić i podnieść podupadłe mieszczaństwo.

Podług zasiągniętych rad od obywateli, zaprowadziliśmy, jak to było

w innych miastach „Radę narodową“, do której weszli obywatele ziemscy z okolicy i mieszczanie.

„Rada“ ta miała swoje pomieszczenie w kamienicy mieszczanina Rozwadowskiego i działała, jak wszędzie.

Ja zaś założyłem nadto „Radę rzemieślniczą“, w której zasiadali wszyscy cechmistrze z dawnych cechów i czeladź porządna.

Ta „Rada“ czuwała nad wszystkimi rzemieślnikami i była głową „Bractwa rzemieślniczego“, w którem wszystkie różnice kastowe zacierały się, a czeladź była „bractwem“.

W „Radzie narodowej“ byłem sekretarzem, a w „Radzie rzemieślniczej“ prezesem. Całą czeladź podzieliłem na setników i dziesiętników, którzy mieli obowiązek czuwać nad moralnością i ludzkiem obchodzeniem się z chłopcami terminującymi.

Sam odwiedzałem warsztaty czeladzi, nauczałem, godziłem, dawałem książki do czytania itd.

Każdy dziesiętnik miał książeczkę, w której miał 10-ciu „braci“ spisanych, miał on obowiązek donieść mi, gdy który z czeladników zachorował, albo co zbroił. On też zbierał od czeladników co tydzień po krajcarku, to składał do „Kasy rzemieślniczej“, aby z tego funduszu były środki do ratunku w chorobie i w biedzie rodzin rzemieślniczych.

Mieliśmy ugodę z Zakładem „Panien miłosiernych“ (zapewne Szarytek przyp. red.) w Przeworsku, że każdego chorego „brata“ czeladnika, czy terminatora przyjmowały do szpitala i tam go leczyły, a my za to płaciliśmy trzewiczkami dla Panien i wiktuałami.

Mieliśmy w mieście „gospodę“, to jest 2 izby najęte, gdzie wędrowny brat dostawał zasiłek od nas na dalszą drogę

Mieliśmy co święto zebrania w sali naszej „Rady“, gdzie się czytało czeladzi gazety, opowiadało się jej, co mamy robić, uczyło się geografii itd. a nawet mieliśmy bale wspólne, gdzie czeladź z całego miasta razem się bawiła.

Nie zapominaliśmy i o Bogu, gdyż co miesiąc schodziliśmy się do kościoła na wspólne „nabożeństwo braci“ a z kościoła szliśmy do sali, gdzie były mowy różnej treści.

Czeladź sama występowała, a my starsi kierowaliśmy słowami. Ja poddawałem treść do tych mów, poprawiałem, krytykowałem, nieraz całą mowę sam napisałem, a brat czeladnik wyuczył się jej i potem stojąc w sali na stole, wygłaszał mowę donośnym głosem.

Taka była wyuczka czeladzi do odwagi cywilnej i parlamentaryzmu i była to poglądowa nauka na potrzeby kraju.

Aby pomnożyć dochody „Kasy rzemieślniczej“ i zatrudnić czeladź w wolnych od pracy chwilach, a miasto zająć czemś wyższem, zbudowaliśmy w sali Rady scenę do grania teatru. Pierwsze wystąpienie w tym teatrze przyjęli na siebie akademicy z Przemyśla, grali naprzykład: „Karpaccy Górale“, „Żółkiewski pod Cecorą“ itd., później grała czeladź, a panie pomagały. Nieraz było dochodu 400 złotych reńskich; z tego były ofiary dla emigrantów, na gazety, na biedne wdowy itd.

Oto masz czytelniku obrazek mojej propagandy w Jarosławiu.

Byli w tych czasach urzędnicy w magistracie rozumni, a jeżeli nie trzymali jawnie z nami, to potajemnie nas wspierali.

Burmistrzem miasta był Karol Kellerman; światły to był i zacny człowiek pominąwszy jego dziwactwa, nikomu zresztą nieszkodliwe.

Szlachetnymi mężami byli też: Zbierzchowski, Marcinkiewicz, Escedy, Kasprzycki i inni. Niech to wspomnienie idzie na wieko waszych trumien, zacni ludzie!

Proboszcz mój w Jarosławiu ksiądz Waydowicz, był to sobie prostego

charakteru człowiek, cichy, skromny, żył bez wystawy, pracował z nami w kościele dla Boga, a w „Radach“ dla ludu. Mało mówił, ale robił, co mógł, i jak mógł. To tyle na twą mogiłę w Jarosławiu, mój proboszczu, za to, żeś był przyjazny naszej propagandzie!

C. d. n.

Noc zbrodni.

Skrócony wyjątek z książki W. Sperańskiego: „Ekaterynburska tragedja“

Dnia 16 lipca 1918 r., o godz. 10-tej wieczorem, była cesarzowa rosyjska, zapisała w swoim dzienniku po angielsku: „Bebi trochę przeziębiony. Tatjana czyta mi biblję. Dziś czytała mi księgę proroka Amosa. Co rana komendant przychodzi do naszego pokoju, dzisiaj przyniósł mi trochę jaj dla Bebi. O godz. 8-mej wieczorem jedliśmy kolację i grałam w bezika z Mikołajem“.

Temi spokojnemi słowami zakończył się pamiętnik carowej. Śmierć już wisiała nad głowami nieszczęśliwej rodziny. Polityczna atmosfera kraju zgęszczała się w przepojoną elektrycznością chmurę. Koło białej armji coraz bardziej otaczało Ekaterynburg. Zbliżali się i Czechosłowacy. A z Moskwy szły jakieś tajemnicze rozkazy pełne trwogi. Główny strażnik i kat carskiej rodziny Jurowskij oraz najbliżsi jego towarzysze zdradzali wielkie rozdrażnienie. Natomiast carska rodzina, przyzwyczajona już do nieszczęścia, żyła w martwym bezwładzie.

Wiosna uralska już minęła, przyszło lato gorące i duszne. O godz. 4 tej popołudniu cała carska rodzina oprócz carowej Aleksandry odbyła swoją ostatnią przechadzkę po ogrodzie. Przez cały czas Mikołaj II-gi nosił na ręku chorego carewicza Aleksieja. Chociaż żółte liście poczęły już opadać, jednak ta półgodzinna przechadzka była prawie rozkoszą dla umęczonych i przedenerwowanych więźniów.

Milcząco i w pokorze wrócili oni do ciasnych pokojów swojego więzienia i nikt z nich nie przypuszczał, że już ma się ku zachodowi „ostatni dzień skazanego“. Wszystkim im zdawało się, że szare i jednostajne życie niewoli jeszcze długo trwać będzie. O niebezpieczeństwie grożącem wskutek zbliżania się białych wojsk nikt z nich nie wiedział i nikt w ów cichy wieczór letni nie oczekiwał tak bliskiego i tak strasznego końca.

Koło godziny 7-mej wieczorem Jurowskij oświadczył jednemu z najbardziej zaufanych swoich pomocników, szefowi straży, Pawłowi Medwiediewowi, że dzisiejszej nocy ma się odbyć rozstrzelanie wszystkich jedenastu więźniów i rozkazał zabrać u czerwonogwardzistów dwanaście oficerskich rewolwerów systemu Nagana oraz położyć ten oręż na stole w pokoju komendanta.

Rozkaz został ściśle wykonany i o godzinie 10-tej wieczorem wszyscy obecni członkowie straży byli uwiadomieni, że za kilka godzin mają spełnić rolę katów. Koło godziny 1-ej w nocy Jurowskij polecił strażnikowi Konstantemu Dobroninowi rozbudzić wszystkich aresztowanych. Miało im być powiedziane, że będą przeniesieni na dolne piętro wobec niebezpieczeństwa, które może im grozić wskutek przypuszczalnych rozruchów w mieście.

Mikołaj II-gi szybko odpowiedział na stukanie Dobronina do drzwi i spokojnie zawiadomił o tem pozostałych więźniów. Przeszło około 40 minut, zanim wszyscy wstali, ubrali się, umyli i zabrali wszystkie te rzeczy, które

przywykli zabierać w drogę. Strażnicy cierpliwie słuchali za drzwiami szmeru kroków, pluskania wody, oddzielnych słów, wypowiadanych w obcem języku, a nawet beztroskliwego dziewczęcego śmiechu.

Nakoniec wszyscy byli gotowi. Jurowski poprowadził ich przez kuchenne schody i podwórze do suterynowej komnaty dolnego piętra. Na bladem pokornie smutnem obliczu Mikołaja Aleksandrowicza nie było znać trwogi. Jego wielkie szaro-niebieskie oczy patrzyły wyczekująco i spokojnie. Pod jego oczami zaległy głębokie męczeńskie cienie.

Niósł on na ręku chorego syna i szedł wolno pod ciężarem drogiego ciała. Głowa chorego, lecz bardzo chudego chłopca z zaufaniem przyciskała się do ojcowskiego ramienia.

Aleksandra Teodorówna miała twarz surową i poważną, która chwilami tylko, gdy patrzała w twarz syna, ożywiała się smutną troskliwością. Tatjana podtrzymywała matkę pod rękę i chwilami mówiła jej coś głosem miękkim i przekonywującym po angielsku. Twarz carowej ostro różniła się od innych twarzy swą niezdrową, więzienną bladością, zupełnie pozbawioną wszelkiej barwy. Ponad zapadłemi skroniami rzucały się w oczy siwe, zaledwie ułożone włosy.

Młodsze wielkie księżniczki uśmiechały się, a w ich radosnych i żywych oczach zapalały się chwilami ogniki ciekawości. Anastazja niosła w rękawie swego ukochanego maleńkiego pieska Dżemmi i wesoło zmuszała go schować się zupełnie. Doktór Botkin, jedyny inteligentny człowiek, któremu udało się zostać do końca przy carskiej rodzinie, szedł tuż obok byłego cesarza. Niedaleko od drzwi począł on prosić:

„Pozwólcie najjaśniejszy panie, że was zastąpię. Widzę, że jest wam ciężko nieść Aleksieja Mikołajewicza".

Ostatni to raz pozbawiony tronu cesarz usłyszał swój tytuł carski. Mikołaj Aleksandrowicz odrzucił prośbę oddanego sobie lekarza ruchem głowy i ze smutnym uśmiechem.

Ostatnia droga dobiegła do końca — wszyscy skazańcy weszli do komnaty, przeznaczonej zastąpić im szafot. Nikt z nich nie zadawał żadnych pytań. Gdy Jurowskij rozkazał przynieść trzy krzesła — wszyscy oni nabrali przekonania, że oczekiwać na polepszenie losu było niepodobna. Carowa usiadła przy zewnętrznej ścianie, trzy starsze jej córki stanęły za jej krzesłami. Mikołaj II gi z synem siedli obok siebie prawie pośrodku pokoju. Za nimi stanął doktór Botkin. Anastazja, prawie dziecko, wciąż uśmiechnięta, dobrotliwie przywołała do siebie pokojową Annę Demidową i obie stanęły u lewego boku drzwi, prowadzących do zapieczętowanego lochu. Kucharz carski Charitonow i służący Trupi stanęli na lewo od wejścia przy ścianie, przylegającej do lochu.

— Szkoda, że niema fotografa — wesoło odezwała się Anastazja.

Tatjana przyjaźnie, lecz karcąco pokiwała ku niej głową. Wszyscy byli w naprężonem oczekiwaniu, gdy nagle Jurowskij, który wyszedł na pięć minut z pokoju, zjawił się w otoczeniu swoich pomocników Jermakowa i Nikulina. Byli zupełnie trzeźwi, chociaż Jurowskij zdawał się być zmieszanym, a na pobladłej jego twarzy dawały się widzieć surowe drgania, których nigdy nie miał. Stanął nieco w teatralnej pozie i głosem silnym, lecz nie zupełnie pewnym, patrząc z podełba na byłego cesarza, oświadczył:

— Mikołaju Aleksandrowiczu, wasi chcieli was ocalić, lecz to im się nie udało... i wskutek tego musimy wszystkich was rozstrzelać...

Wszyscy byli oszołomieni i jak gdyby na kilka sekund zamarli. W tej chwili księżniczka Tatjana przeżegnała się powoli.

— Co? — zapytał cesarz, jakimś dziwnym głosem, jak gdyby we śnie.

— A ot co — odpowiedział drżąco Jurowskij. W jego ręku zabłysnął nagle rewolwer. Gwałtownie postąpił krok naprzód i wystrzelił do cara, nie celując. Pierwszy wystrzał zagrzmiał, jak uderzenie piorunu. W tej chwili rozdzierającym głosem krzyknęła Anastazja Mikołajówna i Anna Demidowa. Mikołaj II-gi, śmiertelnie ranny w okolicę sennej arterji, zakołysał się, chciał podnieść rękę do gardła, lecz wnet upadł ciężko na podłogę bez jęku. Jego lewa ręka była podgięta pod piersiami, a prawa jakoś nienaturalnie przewróciła się dłonią do góry. Po całem jego ciele przebiegło ostatnie drganie. Palce prawej ręki kilka razy ściskały się i prostowały, wreszcie zamarły. Umierający silnie drgnął plecami, jak gdyby chciał zrzucić z siebie gniotący jakiś ciężar i po chwili, uwolniony od niego, zasnął w pokoju. Brodę zarumieniła gęsta ciemno-czerwona krew.

W tejże chwili rozpoczęła się bezładna i nieustanna strzelanina, zlewając się w jeden ogłuszający huk grzmotu. Jak gdyby szał zwierzęcy opanował wszystkich katów. Ofiary poczęły padać jedna za drugą. Upłynęło nie więcej jak dwie minuty, gdy z jedenastu skazańców wszyscy leżeli na ziemi. Bez specjalnej komendy zbójecki sztab Jurowskiego mechanicznie naciskał kurki rewolwerów nawet wówczas, gdy wszystkie bezbronne ofiary leżały już w agonji.

Aleksandra Teodorówna padła w milczeniu na wznak między mężem i synem. Czerwone plamy zabarwiły jej siwe włosy. Westchnęła kilka razy głęboko, jak gdyby z ulgą i ucichła na wieki. Olga i Tatjana pożegnały się przyjacielskiem spojrzeniem, zanim kule morderców skaziły ich młode twarze do niepoznania. Marja upadła głową na nogę doktora Botkina, jakoś śpiewnie wykrzyknąwszy parę razy, niby śmiertelny raniony łabędź. Jej piękne oczy zostały otwarte z zamarłym wyrazem bólu i zdziwienia.

Anastazja około dziesięciu minut rzucała się po podłodze w zupełnej świadomości i jęczała, a następnie zamknęła oczy i umilkła.

Jej piersi zaledwie się podnosiły, poruszane zamierającym oddechem. Dziecinne usta coś szeptały w przedśmiertelnej męce. Paweł Miedwiediew szybko podszedł do niej z dymiącym rewolwerem w ręku i rzekł szyderczo, lecz wesoło:

— Usiłuje mała szelma udawać martwą, sądzi bestja, że się nie domyślimy.

Za jego rozkazem dwaj Łotysze kilka razy uderzyli okrwawione dziecko bagnetami w bok. Drgnęła i prawie natychmiast przestała oddychać. Twarzyczkę miała uroczystą i jak gdyby zmężniałą.

Chorego carewicza tak samo, jak jego ojca, zabił własną ręką Jurowskij. Nieszczęśliwy chłopak upadł z krzesła i począł rzucać się na podłodze w strasznej agonji, przyciskając wychudłe ręce do przestrzelonej piersi. Po jego bladej, prawie woskowo-przeźroczystej twarzy płynęły duże krople łez. Jęczał głośno i próbował zamierającemi usty wyszeptać: „mama“. Jego długie rzęsy i zamierające oczy lekko drżały. Jurowskij podszedł do umierającego dziecka i dwa razy wystrzelił mu w głowę. Zmęczone ciało carewicza jeszcze raz drgnęło i wyciągnąwszy się, zamarło. Nawpół dziecinna jego głowa otoczona była, niby aureolą, krwawym kręgiem na podłodze.

Młody lokajczyk Aleksij, śmiertelnie ranny w piersi upadł natychmiast na kolana, wyszeptał coś modlitewnego zamierającemi ustami, zrobił jakiś naiwnie obronny gest w kierunku martwego już cara i skonał!...

Starego kucharza Charitonowa, rannego kilku kulami w brzuch i pełzającego po podłodze w niewypowie-

dzianej męce, dobito bagnetami z jakąś specjalną nienawiścią.

Anna Demidowa rzucała się w przerażeniu po pokoju, straszliwie krzycząc, płacząc i śmiejąc się histerycznie:

— Ach, nie trzeba, nie trzeba, zostawcie mnie przez Boga! Miejcie litość — powtarzała w niewypowiedzianym strachu.

Już przestrzelona kilkoma kulami próbowała jeszcze bronić się, zasłaniając pierś poduszką. Rzucona na ziemię nowymi wystrzałami, Demidowa znalazła w sobie jeszcze dość siły, aby się podnieść i krzyknąć głośno:

— Ach, nikczemnicy! Jest przecie sąd Boży nad wami.

— A to mocny kot, umierać nie chce, chociaż jak rzeszoto przestrzelona jest kulami — powiedział Nikulin szyderczym głosem.

— A to elegantka, trzewiki takie szykowne, jak u jej pani. No, towarzysze, potraktujcie ją bagnetami na pożegnanie — dodał Nikulin z sadystycznym śmiechem.

Wszystko było skończone. Jedna z najbardziej dzikich zbrodni wszechświatowej historji spełniła się. Rosjanie nietylko w dalekich miastach i wsiach, ale i w samym Ekaterynburgu, spokojnie spali o tej godzinie, nie podejrzewając, że w domu Ipatjewa, wybudowanym dla siebie i dla rodziny, ma miejsce tak straszliwy mord bezbronnych więźniów.

Pokój napełnił się ciężkim zapachem prochu i świeżej krwi. Mordercy jak gdyby oszaleli i nie odrazu zdołali oprzytomnieć.

Pozbawienie życia bezbronnej gromadki dorosłych i dzieci — kończy p. Walentyn Speranskij — było dokonane szybko i sprawnie. Rewolucyjne „zwycięstwo“ zostało odniesione w ciągu kilku minut. Teraz zwycięscy pomyśleli o natychmiastowem otrzymaniu tych rzeczowych wartości, których niemało można było znaleźć na martwych ciałach ich ofiar. Naturalnym dalszym ciągiem zabójstwa była grabież.

Zaczęto poszukiwania wśród okrwawionych łachmanów odzieży i ciał ludzkich. Między innemi zabrano od cara złoty zegarek, a z pozostałych dużo pierścieni i krzyżów.

Nie zapomnieli zamordować i maleńkiego pieska Dżemmi, który, wypadłszy z rękawa swojej gosposi, zapamiętale szczekał w ciągu strzelaniny. Jeden z katów zręcznem uderzeniem kolby rewolweru rozbił mu głowę.

Przestroga przed wychodźtwem do Argentyny.

Bawił, a może jeszcze bawi w Warszawie p. Władysław Mazurkiewicz, poseł Rzeczypospolitej w Argentynie, zastępujący także posłów w Chili, Paragwaju i Urugwaju.

P. Mazurkiewicz w wywiadzie udzielonym pracownikowi Ajencji Wschodniej głosi, że w roku 1926 wyemigrowało z Polski do Argentyny 14 tysięcy osób, obecnie przybywa tam miesięcznie po 2 tysiące osób.

Ilość obywateli polskich w Argentynie wynosi w danej chwili 100 tysięcy, z czego połowę (50 procent) stanowią żydzi, 20 procent Polacy, a 30 procent Rusini.

Na zapytanie, czy w Argentynie są jakie widoki dla emigracji inteligencji polskiej, p. Mazurkiewicz odrzekł, iż brak tejże inteligencji daje się w Argentynie bardzo odczuwać, jednak mimo to o pracę dla inteligencji naszej w Argentynie nader trudno, czy to w biurach, czy w wolnych zawodach, bo Argentyna posiada kilka uniwersytetów, które tyle wydają inteligencji, że ta w zupełności zaspakaja potrzeby kraju.

Inne nieco wiadomości o Argentynie podaje jeden z czytelników „Przyjaciela Ludu“, niejaki Józef Kałużny zamieszkały w Rosito.

Pisze on:

„Niema tu żadnego raju, jest wielki wyzysk i nędza pomiędzy polskimi emigrantami, a wszelkie kadzenia i pochwały Argentyny rodzą się na ustach tych panków, co to za rządowe pieniądze odbywają w te strony podróż wygodną, a potem opisują w kraju niestworzone rzeczy, bo dobrze im smakował wikt w pierwszej klasie na okręcie i rząd argentyński grube im dolary płaci za ich inspekcyjne podróże.

W rzeczywistości o pracę tu bardzo trudno, a jak ją znajdzie, to za marne pieniądze, bo wielki napływ rąk roboczych. To nie jest ta Ameryka, co w niej dorobić się można, jak to było w Ameryce Północnej. Tu jest inny naród, hiszpański, który jest leniwy i skłonny do wyzysku a przytem ciemny i dlatego mimo wielkich bogactw naturalnych kraj nie rozwija się i panują niemal niewolnicze stosunki na wsi a nędza po miastach i wielki brak pracy.

Ja dostałem się do Argentyny wskutek zachwalań mego znajomego, który dostawszy się do Argentyny pisał mi, że dobrze się mu powodzi i że ma 50 dolarów miesięcznie. Dopiero jak przyjechałem na miejsce dowiedziałem się, że ma nie 50 dolarów a mniej niż połowę tej sumy, a do domu tak pisał, bo się wstydził przyznać, że zamienił siekierkę za kijek, bo w Polsce miał jednak skromny kawałek chlebusia, a tu musiał wiele poniewierki przecierpieć.“

Warto jeszcze przytoczyć, co pisze „Critica“ (Krytyka) pismo argentyńskie wychodzące w Buenos Aires.

Dowiadujemy się z tego pisma, że do jego redakcji przybyło niedawno kilku Polaków, nieznających języka hiszpańskiego, a bardzo wygłodzonych i proszących o pomoc w dostaniu się z Argentyny do Ameryki Północnej, wolą bowiem wszystko, niż umierać z nędzy na ulicy w kraju, co do którego tak bolesny spotkał ich zawód.

Wspomniane pismo podaje dalej, że w Argentynie znajduje się 3 tysiące Polaków bez pracy, a więc bez żadnych środków do życia.

Każdy z tych emigrantów wydał ostatni grosz, jaki posiadał w Polsce, na podróż do Argentyny, bo mu opowiadano w Polsce, że znajdzie tam raj na ziemi — a zamiast tego spotkało ich bolesne rozczarowanie — z winy chciwych naganiaczy.

Pismo „Critica“ nie mogąc im pomódz, z boleścią zaznacza, że rozpacz ogarnia człowieka, gdy widzi nędzę i poniewierkę Polaków.

Tak piszą w Argentynie — a co na to społeczeństwo i Rząd polski? Czy wysłuchają tego strasznego głosu rozpaczy? Należałoby jak najprędzej pospieszyć z pomocą tym biedakom. Należałoby i w Sejmie tę sprawę poruszyć.

Niemcy ciągle o wojnie myślą.

Ile są warte urzędowe zapewnienia rządu niemieckiego, że jak cały świat tak i Niemcy pragną pokoju i zgodliwego pożycia z sąsiadami, świadczą głosy ich pism, które znowu jednogłośnie stwierdzają, że Niemcy prędzejby się zgodziły na pozostawienie Nadrenji nawet jeszcze przez 10 lat w okupacji francuskiej, niż na obecną granicę od strony Polski.

2-gi Kongres Związku „Heimattreuerów“ Prus Wschodnich, który w początkach lipca b. r. odbył się w Iławie, powziął rezolucję potępiającą Traktat wersalski, który jest, według zdania Kongresu, ciężką niesprawiedliwością wobec narodu niemieckiego.

W depeszy zaś do Stresemana mi-

nistra spraw zagranicznych, Kongres wyraził mu podziękowanie „że niedwuznacznie występuje przeciw wschodniej granicy i że Niemcy zamieszkali na Wschodzie oczekują, iż to stanowisko ministra nie ulegnie zmianie“. Minister Streseman w odpowiedzi zaznaczył, że rząd stoi na tem samem stanowisku co i Kongres, czyli, że rząd niemiecki nie uznaje też obecnej granicy od strony Polski.

Jeszcze bezczelniejszy jest memorjał wysłany do kanclerza Rzeszy niemieckiej, Müllera, przez „Związek niemiecki dla obrony kresów wschodnich“ z siedzibą w Gdańsku, bo w memorjale tym domagają się prowokatorzy niemieccy od rządu niemieckiego, by swym wpływem na rząd polski wstrzymał budowę polskich portów w imię pomyślności gdańskiego handlu.

Inne rezolucje tegoż Związku domagają się odebrania Polsce „zagarniętego obszaru“ tj. Poznańskiego, Pomorza i Śląska.

Naturalnie, że nie na słowach i rezolucjach kończą się pragnienia Niemców, aby bowiem te żądania w czyn przeprowadzić, ciągle się po cichu zbroją i do wojny z Polską się przygotowują.

I wcale się z tem nie tają, że „pokoju nie może być tak długo, dopóki korytarz polski nie będzie zwrócony Rzeszy niemieckiej i dopóki Prusy Wschodnie nie będą z powrotem złączone z Niemcami.

Będzie to ciężka walka, ale jesteśmy po to, aby wywalczyć wolność Niemiec.“

„Zakon Młodoniemiecki — pisze jego organ „Der Jungdeutsche“ — uważa za swój obowiązek z całym naciskiem podkreślić prawa niemieckie do korytarza i niemiecką wolę **odzyskania wydartych nam obszarów wschodnich“.**

Wielki mistrz tego Zakonu Mahrau, wypowiedział na zjeździe Młodoniemców w Gdańsku, te jeszcze znamienne słowa:

„Zakon Młodoniemiecki pozostanie związkiem bojowym. Gdyby dziś granicom niemieckim groziło ze strony polskiej jakieś niebezpieczeństwo, **nie zawahamy się rozpętać nowej, jeszcze większej burzy od ostatniej.“**

Głośno więc Niemcy przyznają się, że nie spoczną aż znów obrabują Polskę z odwiecznych jej ziem, że rozpętanie jeszcze większej wojny, niż była wojna światowa, to ich dzisiejsze marzenie i gorące pragnienie.

Dwa głosy o faszyźmie.

Faszyzm, jak twierdzi krakowski „Głos Narodu“ (nr. 189) posiada u nas powierzchownych wielbicieli i jeszcze bardziej płytkich przeciwników.

Najczęstszym zarzutem, jaki się mu stawia, jest zarzut, że gnębi bezwzględnie opozycję nawet umiarkowaną, że nie znosi obok siebie żadnych partyj, ani innej prasy i innych stowarzyszeń.

Zarzut ten jest prawdziwy i zresztą z dumą przez faszystów przyznawany.

Nie należy jednak z tego wnioskować, że faszyzm nie ma za sobą mas, że jest rządem znoszonym niechętnie i że w swobodnych wyborach zostałby przez ludność odrzucony.

Opinja ta jest zupełnie fałszywa. Rząd faszystowski ma za sobą ogromną większość narodu i wcale nie zanosi się na to, by ta większość w bliskim czasie zmalała. By tę większość utrzymać, prowadzi partja faszystowska tak silną agitację wiecową i prasową, o jakiej my w Polsce nie mamy pojęcia. Faszyzm czyni olbrzymie wysiłki, by ogarnąc cały naród zupełnie i wy-

łącznie, i gdyby dziś odbyły się wolne wybory, to faszyzm zdobyłby conajmniej 70 procent głosów. Przyzna to każdy, kto był w tym roku w Italji, choćby nawet należał do wrogów faszyzmu.

Niestety tak nie jest.

Hr. Zygmunt Plater, który w tym roku bawił we Włoszech, pisze w warszawskim monarchistycznym dwutygodniku: „Pro Patria“, że jak za granicą, tak i we Włoszech nie brak głosów przepowiadających upadek faszyzmu, nie brak też leż ludzi narzekających na panujący teror, na brak wolności słowa, na przymus polityczny nie do zniesienia.

W restauracji, w wagonie, wogóle w miejscach publicznych o polityce rozmawiać nie wolno, więc taki przeciwnik faszyzmu chcąc z drugim o faszyźmie rozmawiać, usuwa się z nim w zaciszny jaki kąt, lub w osobny przedział wagonu, albo idą obaj w pole, rozglądając się podejrzliwie, czy ich jaki szpieg faszystowski (bo i faszyzm ma swoją „ochranę‘) i nuż wymyślać wtedy na Mussoliniego, któremu i kajdanki swego czasu nie były jako socjaliście obce, który chciał króla detronizować, a dziś jest podporą korony i tak bezwzględnie wobec społeczeństwa postępuje, że do wszystkiego się miesza, nic mu nie ujdzie, do tego stopnia, że i w prywatne okoliczności życia wkraczać się nie waha.

Dochodzą te głosy ze sfer arystokratycznych i ze sfer przemysłowych, które wcale się nie cieszą wielkiem dziełem odrodzenia Włoch.

Po drugiej zaś stronie płoną wielką nienawiścią ku faszyzmowi ultrademokraci i socjalni demagogowie, którzy od niszczenia podstaw ojczyzny zostali usunięci. No, i oczywiście wszystkie najskrajniejsze elementy komunistyczne, których nigdzie nie brak.

Wrogów wię zewnętrznych i wewnętrznych faszyzmu — jest, według zdania hr. Platera sporo, podkopują oni zawzięcie rozpoczęte dzieło Mussoliniego — i to stanowi dla Włoch wielkie niebezpieczeństwo.

Komunizm we Francji.

Jeden z inteligentów francuskich, Jakób Valdour, chcąc poznać ruch komunistyczny wśród robotników, pracował jako robotnik w fabrykach, mieszkając w czysto fabrycznej dzielnicy.

Z jego spostrzeżeń, które podaje w pewnym poważnym miesięczniku francuskim, wynika, że niebezpieczeństwo komunizmu we Francji nie tylko nie osłabło, ale poważnie się zaostrzyło.

Napozór ruch komunistyczny wśród robotników jest niewidzialny. Robotnicy chodzą do fabryk i pracują bez szemrania. Możnaby sądzić, że ani się im śni bolszewizm.

A jednak lada okazja daje co innego do poznania, mianowicie, że tam w cichości tworzą się kadry czerwone, że niezadowolenie wzrasta, dzięki agitacji socjalistycznej i komunistycznej.

Robotnik francuski niema jednak, a raczej nie powinien mieć powodu do niezadowolenia z życia, którego warunki są na ogół dobre.

W miejscowościach fabrycznych, jak np. w Billancourt, mają robotnicy swoje restauracje, domy umeblowane w słonecznych ogrodach, kamienice nowe z wszystkiemi nowoczesnemi wygodami, a więc z wodociągami, łazienkami i elektryką, których mógłby im pozazdrościć niejeden „burżuj“, a jednak osiedle to jest czerwone i wzdycha do komunizmu.

Dlaczego, pyta się p. Jakób Valdour i odpowiada: bo obecnie celem robotnika francuskiego zorganizowanego w związkach socjalistycznych i komunistycznych jest już nie lepsza egzystencja, lecz zupełna i wyłączna własność fabryk, kopalń itd.

Przeciw takiej żądzy trudno jest walczyć. Naprózno stawia się mu przykład Rosji przed oczy, gdzie wyzyskiwany robotnik prowadzi bardzo nędzny żywot. Robotnik francuski, jak i każdy inny poza Rosją, więcej wierzy agitatorom komunistycznym, niż każdemu innemu najuczciwszemu człowiekowi.

Tworzą się więc kadry czerwone, dobrze zorganizowane i uzbrojone, które w czasie manifestacji publicznie już występują, a rząd francuski obojętnym patrzy okiem na tę już nie krecią, ale jawną robotę bolszewicką.

A czy u nas w Polsce inaczej? Czy nie możemy powiedzieć: „tak samo jak u nas". U nas o tyle jeszcze gorzej, że bolszewickiego wroga mamy nie tylko ukrytego wewnątrz kraju, ale sąsiadujemy z nim o miedzę.

(Z Gł. Nar.)

Z Bolszewji.

Bułka środkiem leczniczym Gospodarka bolszewicka doprowadziła Ukrainę, kraj niegdyś „miodem i chlebem płynący" do takiej nędzy aprowizacyjnej, że dziś wypiek białego pieczywa jest tam dozwolony tylko Spółkom sowieckim, a bułkę nabyć w nich może tylko chory, posiadający odpowiednie poświadczenie lekarskie.

Zwykły chleb można nabyć również tylko na kartkę i to po pół kilogr. na osobę.

Rada komisarzy ludowych (tj. Rada ministerjalna) postanowiła zakupić w Ameryce 200 tysięcy tonn zboża, całej bowiem także północnej Rosji i ośrodkom fabrycznym grozi głód.

Zamożniejsi włościanie uprawiają tyle tylko ziemi, ile im zboża potrzeba na wyżywienie własnych rodzin, resztę zaś, co im zbywa, chowają i nie chcą wydać władzom spwieckim, które ich gnębią podatkami i zboże gwałtem zabierają.

Sowiety burzą cerkwie. Sowiet w Moskwie uchwalił rozebrać na cegłę cały szereg starych i sławnych cerkwi i z tych cegieł zbudować domy mieszkalne i kluby robotnicze.

Zakaz praktyk religijnych. Komisarjat ludowy Sprawiedliwości ogłosił rozporządzenie, które zabrania odprawiania jakichkolwiek praktyk religijnych w szpitalach państwowych i miejskich. Rozporządzenie to ma na celu pozbawienie chorych wszelkich pociech religijnych.

Ściąganie podatków. Wobec wrogiego usposobienia włościan do władz sowieckich, czego dowodem jest wstrzymanie się od płacenia podatków, rząd sowiecki wysłał do wsi specjalnych urzędników, którym „dla pewności" towarzyszą silne oddziały milicji.

ROZMAITOŚCI

Plamy na słońcu a upały.

Astronomowie twierdzą, że tegoroczne upały pozostają w związku z niezwykłym wzrostem plam na słońcu.

Plamy zaś te są śladami jakichś ogromnych burz magnetycznych szalejących na słońcu.

Przeszło 200 milj. złotych

otrzymała Polska z zagranicy w roku ubiegłym 1927.

Największe kwoty przysłano ze Stanów Zjednoczonych i z Kanady.

116 tysięcy bezrobotnych w Polsce.

W dniu 30 czerwca br. ogólna liczba bezrobotnych w Polsce wynosiła 116 tysięcy 247.

Niemcy wykupują polskie lasy.

„Górnośląskie Towarzystwo dla przemysłu drzewnego“, złożone z samych Niemców oparte o kapitały niemieckie zakupiło 100 tysięcy morgów lasu we Wschodniej Małopolsce, będącego własnością bar. Liebiga. Cena kupna wynosiła 3 miljony 200 tysięcy dolarów.

Żydowska, krakowska firma drzewna Falter i Dattner otrzymała za pośrednictwo w tej sprawie 64 tysiące dolarów. Ładny zarobek! Niestety, do takich zarobków tylko żydzi mają szczęście.

Wzrost ludności w Polsce.

Według spisu ludności z r. 1921 ludność Polski wynosiła wtedy 27 miljonów 201 tysięcy 788.

Dziś według obliczeń prowizorycznych, liczba ta wynosi do **30 miljonów** 212 tysięcy 928, czyli powiększyła się o 3 miljony.

Pół miljona dziennie na napoje alkoholowe.

Pół miljona dziennie na napoje alkoholowe, czyli 180 miljonów złotych na rok, wydają ludzie na polskim Górnym Śląsku. Takie zdanie wygłosił w odczycie w Katowicach ks. prałat Kapica. Ile to dobrego możnaby za te pieniądze zrobić!

Polska najtańszym krajem w Europie.

Zestawienie porównawcze cen hurtownych w poszczególnych państwach Europy, pokazuje, że ceny w Polsce są niższe od cen światowych. Gdy więc jaki towar kosztuje w innych krajach np. 139 złotych, to w Polsce jego cena wynosi 124 złotych.

Najwyższy stopień drożyżny wykazują Czechosłowacja, Francja i Włochy.

Żydzi rozsadnikami zarazy komunistycznej.

W Białymstoku wykryła policja Okręgowy Komitet Partji komunistycznej, do którego należeli sami żydzi i żydówki w liczbie kilkunastu osób.

W czasie przeprowadzonych u nich rewizyj wykryto znaczny zapas broszur i odezw komunistycznych.

Gdzie najwięcej rozwodów.

Wiedeński tygodnik „Das Neue Reich“ podaje taką statystykę rozwodów w świecie: Niemcy mają 57 rozwodów na 100 tysięcy mieszkańców. Dawniej było rozwodów mniej, bo w roku 1913 przypadało na 100 tysięcy mieszkańców tylko 28 rozwodów. Dziś jest pod tym względem gorzej.

Po Niemcach idą: Francja ma 53 rozwody na 100 tysięcy mieszkańców, Danja 50, Anglja tylko 6.

Na całym świecie istnieją tylko dwa państwa, które prześcigają Niemcy w tym względzie, mianowicie Ameryka północna z liczbą 153 rozwodów, oraz Japonja z liczbą 88 rozwodów na 100 tysięcy mieszkańców. Liczby rosyjskie, które na pewno są większe od amerykańskich, nie są dokładnie znane.

Emerytura dla wszystkich obywateli.

Jeden z członków Kongresu Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, wystąpił z ciekawym projektem.

Obliczywszy, że 76 miljonów osób w Stanach Zjednoczonych nie zarabia dosyć, aby cokolwiek odłożyć na starość, opracował projekt zalecający wyłącznie emerytury po 12 dolarów

tygodniowo każdemu, kto przekroczył 60 lat życia. Podobno projekt ten, ma wszelkie szanse, by stać się prawem.

Czeszka, która nie cierpi Polaków.

Pisarka czeska, Tischowa, wydała niedawno książkę pod tytułem: „Hałdy“, w której opisuje walkę ludu czeskiego z Austrją.

Tischowa zaczepiła jednak w tej książce o robotników polskich, nazywając ich „gałganami“, „bydlakami“ itp.

Znieważenie robotników polskich jest znieważeniem całego narodu polskiego, przeciw czemu zaprotestować winni i rząd polski i wszyscy pisarze polscy.

Przydałoby się to i u nas.

Rada miejska miasta Lugano we Włoszech wydała rozporządzenie zabraniające właścicielom kiosków wystawiania na widok publiczny i sprzedawania czasopism, pocztówek i podobnych przedmiotów wpływających gorsząco na młodzież.

Polskim socjalistom w Ameryce

źle się powodzi, szeregi ich topnieją coraz bardziej. Mądrzejsi i najwpływowsi działacze odwrócili się od partji.

Jeden z głośniejszych przywódców socjalizmu polskiego w Ameryce publicznie oświadczył niedawno, iż nie ma nic wspólnego z socjalizmem, ponieważ chce być patrjotą polskim.

Długi ciężące na wydawnictwie socjalistycznego „Robotnika“ przewyższają zasoby, źle więc na całej linji.

ROZSZERZAJCIE „KRAKUSA“ MIĘDZY ZNAJOMYMI!

Generał, jakich mało.

Jeden z chińskich generałów, którzy między sobą prowadzą od kilku lat wojnę domową, komendant 200 tysięcznej armji w głębokiej prowincji Kwajt-Czen, przyszedł do przekonania, że lepiej robić coś pożytecznego, niż bić się. Odmówił przeto udziału w obecnej wojnie i całą swą armję zaprzągł do budowy doskonałej samochodowej szosy, podług najlepszych wzorów dzisiejszych. W ciągu kilku miesięcy zbudował 480 klm. tej szosy. Obecnie zabrał się już do drugiej, która ma się ciągnąć na przestrzeni 500 kilometrów.

Uniwersytet katolicki w Pekinie.

Ojciec święty Pius XI powierzył OO. Benedyktynom utworzenie wielkiego uniwersytetu katolicko-chińskiego w Pekinie.

OO. Benedyktyni dokonali już tego dzieła, mimo bardzo niespokojnych czasów w Chinach.

Uniwersytet mieści się w olbrzymim wspaniałym gmachu należącym niegdyś do wuja ostatniego cesarza chińskiego.

Kościół katolicki w Chinach ma już swoich biskupów narodowości chińskiej, a teraz mieć będzie także wielką uczelnię wyższej wiedzy katolickiej.

Elektryczność pomaga w chorobie raka.

A. M. Stimson, lekarz amerykański ogłosił, że rak sztucznie zaszczepiony myszom, został w wielu wypadkach wyleczony przy pomocy elektryczności. Stimson wyraził nadzieję, że dalsze badania doprowadzą do wynalezienia sposobu leczenia tej strasznej choroby u ludzi.

Wydawca, nakładca i odpowiedzialny redaktor: Ks. M. Dziurzyński, Powiśle 12.
Drukarnia Przemysłowa w Krakowie pod kier. T. Zakulskiego.